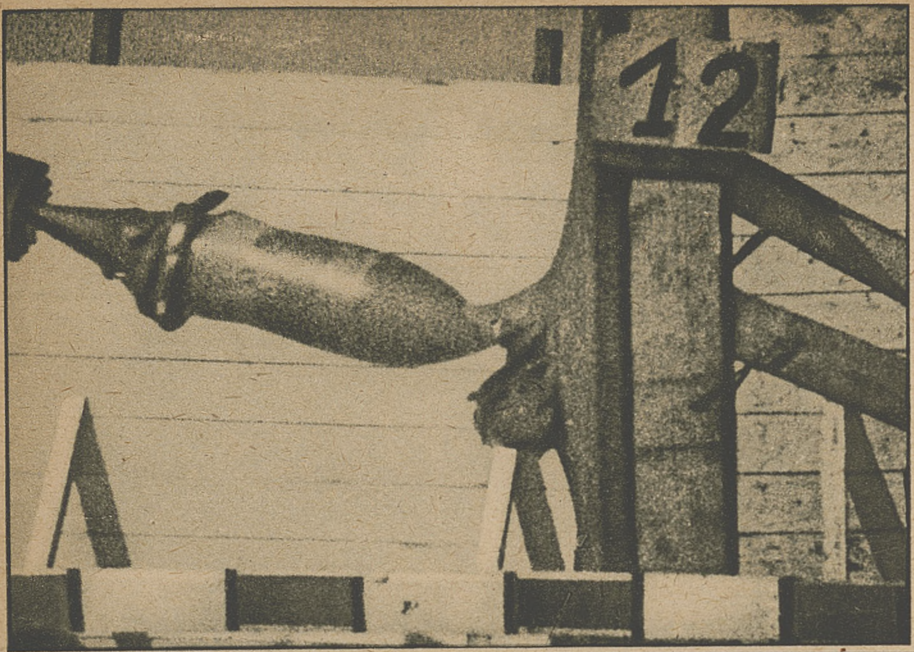
Nr. 32 Rok 5 Kraków, dnia 6 sierpnia 1944. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



W CZAS ŻNIW



BOMBY TWARDSZE OD STALI

Wypróbowanie skuteczności niemieckich bomb pancernych. Bomba próbna nie zawiera jeszcze materiału wybuchowego, lecz jest wypełniona materiałem obojętnym o tej samej wadze co materiał wybuchowy i dlatego nie eksploduje przy uderzaniu w cel.

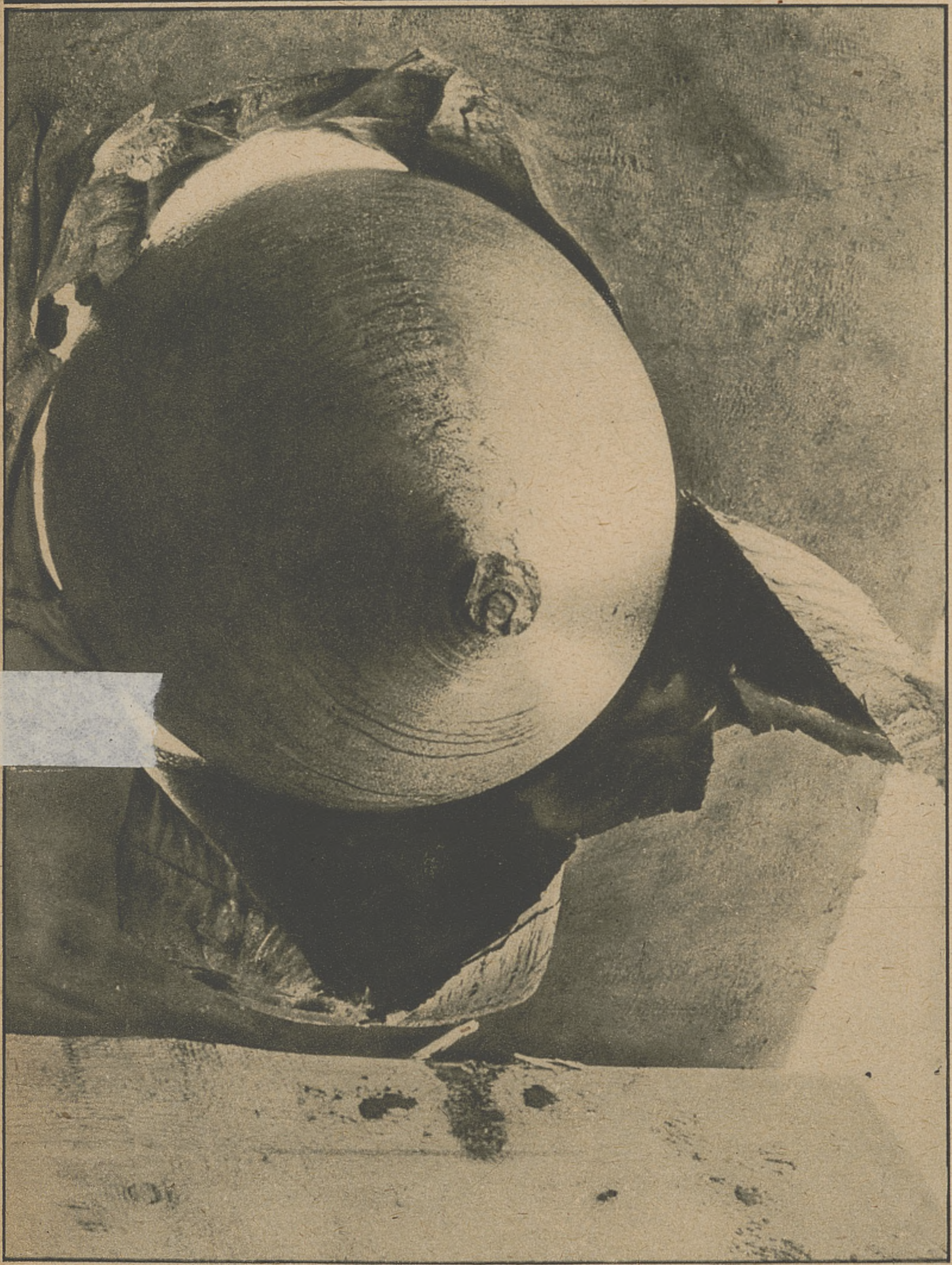
Na lewo:
Fotograficzne zdjęcie próbnego strzału w tempie zwolnionym. Bombę sfotografowano w tej właśnie chwili, gdy zaostrzony koniec bomby trafia płytę pancerną.

Na prawo:
Bomba przebija płytę.

Poniżej na lewo:
Ostrze bomby przebija grubą płytę pancerną.

Poniżej:
Bomba przebiła grubą płytę pancerną tak łatwo jakby ta płyta była z papieru.







LOTNICY UBEZPIECZAJĄ KONWÓJ

Samoloty okrążają płynący po morzu konwój niemiecki chroniąc go przed ewentualnymi atakami nieprzyjaciela.





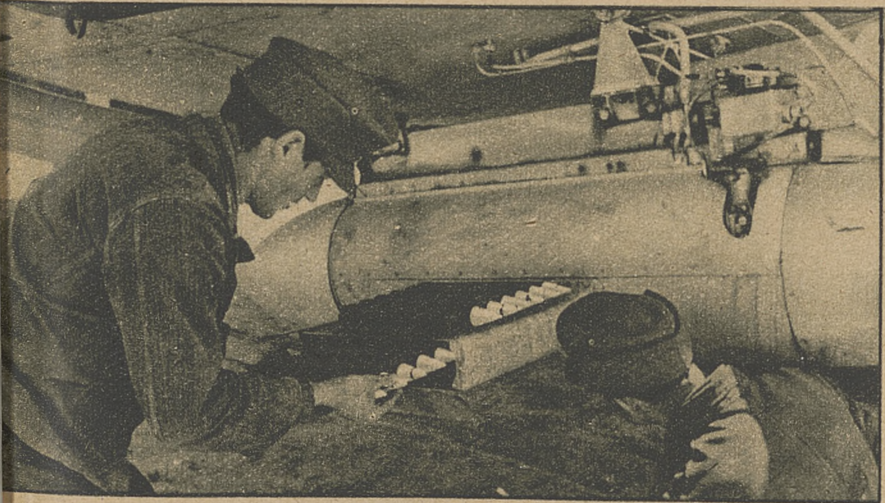
Okręt transportowy widziany z samolotu.

Fot: PK. Steinmetz, Schödl (2), Speck — TO, Grosse, Lysiak (4), Atl., Atlantik.

LATAJĄCE DZIAŁA OBRONY PRZECIWPANCERNEJ

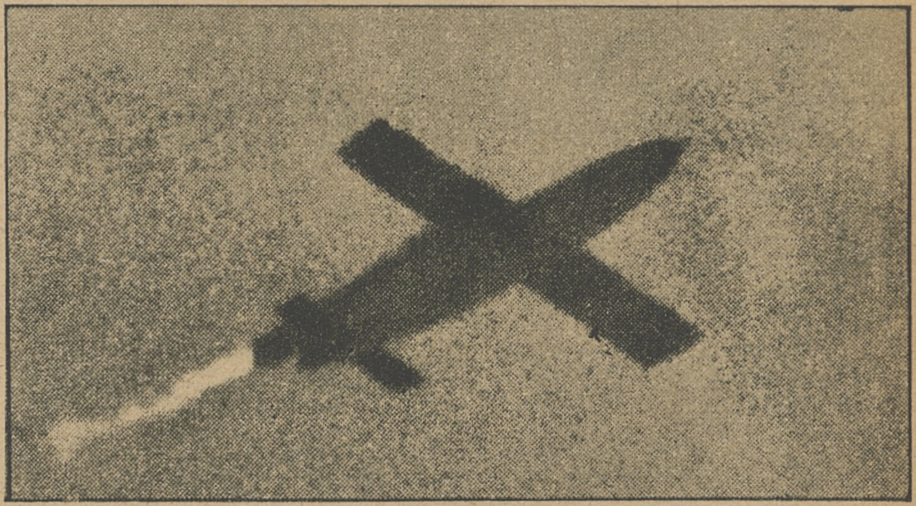
Niemiecki samolot bojowy zamiast bomb posiada dwa działa obrony przeciwpancernej





Przed odlotem żołnierze napełniają granatami małego kalibru magazyn samolotu.

Na prawo:
V 1
Zdjęcie pocisku „V 1" w locie. Z olbrzymią szybkością pruje on powietrze zanim ugodzi w cel.







Z kabiny samolotu obserwuje strzelec przez lornetkę horyzont.

Kontrastowość klimatu Azji odbija się również w życiu jej ludów. Pod względem sposobu życia i stopnia kultury spotykamy tu jak największą rozmaitość, począwszy od mało ucywilizowanych plemion zamieszkujących zimne tundry Syberii, aż do starych kultur wschodu i południa: Turków, Persów, Hindusów, Chińczyków i Japończyków. Dla antropologa bardzo interesującym terenem do badań jest Azja środkowa. Ta część bowiem lądu azjatyckiego jak najżywiej pobudza myśl ludzką do pracy. Wpływ gór na klimat, zależność między fizycznymi warunkami przyrody a ludnością — wszystko to z taką wyrazistością i siłą występuje w Azji środkowej jak bodaj w żadnej innej połaci. Bujne stepy środkowej Azji zamieszkują plemiona koczujące (nomadowie), trudniące się prawie wyłącznie pasterstwem. Całe bogactwo tutejszego mieszkańca stanowią: konie, owce, wielbłądy i krowy. Wszystko niezbędne do życia otrzymują od nich: żywność, odzież, siłę transportową. Pielęgnowanie bydła stanowi cały kłopot, jedyne zajęcie nomada, co zresztą robi bez wielkiego wysiłku. Nie doglądane przez nikogo pasą się wielbłądy i konie na stepie i latem tylko raz na dobę bywają pojone u studni. Pieczę nad owcami i krowami mają kobiety. Dojenie bydła, przechowywanie mleka, wyrób masła itp. prace należą do kobiet. Kobiety strzegą ogniska, nie domowego wprawdzie --- gdyż ludy koczownicze nie mają domu — ale namiotu. Typowym przykładem są Turkmenki, kobiety należące do plemienia, które żyje w pobliżu granicy Persji. Podczas gdy mężczyźni prowadzą na ogół próżniaczy sposób życia, kobiety zajmują się pracami około domowego gospodarstwa, i starają się by pan domu, gdy wróci po dłuższej lub krótszej nieobecności do jurty zastał wszystko w najlepszym porządku i mógł pędzić jak najwygodniej --- na sposób turkmeński oczywiście --- swój próżniaczy żywot.

POŻEGNANIE JURTY
Jedna z rodzin Turkmenów przeniosła się z jurty do nowego domu. Niezbyt męczącą była przeprowadzka, gdyż cały sprzęt domowy Turkmena składa się z kilku dywanów, kilku derek na konie i siodeł filcowych, paru garnków oraz nieodzownego samowaru.

Fot: Kummer



Na prawo:
PRZY DOMOWYM OGNISKU
które u Turkmenów nazywa się po prostu „dziurą do gotowania". Niezwykłą prostotą oznaczają się tu zarówno potrawy jak i naczynie służące do gotowania.





Powyżej:
OCZYSZCZANIE ZBOŻA
Turkmenki są niezwykle pracowite. Na ich barkach spoczywa wszelka praca około gospodarstwa domowego. Nawet staruszki nie uchylają się od niej, lecz starają się być w miarę możności pożyteczne, pasąc owce i kozy lub też, jak to widzimy na zdjęciu, czyszcząc zboże z plew.



Powyżej:
GOTOWANIE OBIADU
Turkmenki gotują swe potrawy jedynie na woln[...] powietrzu. Bardzo prymitywnie wygląda ich p[...] kuchenny. Składa się on jedynie z okrągłe[...] otworu w ziemi zakończonego u góry obram[...]waniem z gliny. Ogniska te umieszcza się w pe[...]nej odległości od jurty, by uniknąć niebezpiecze[...]stwa pożaru. Za materiał opałowy służy chr[...] lub nawóz wielbłądzi.

Poniżej:
PAN DOMU
Mężczyzna w Turkiestanie nie zajmuje się zwykle niczym. Pije od rana do wieczora herbatę leżąc wygodnie na matach w jurcie, lub też dosiadłszy konia, jak wiatr po stepie pędzi do sąsiada, by podzielić się z nim nowinami, a także wypić z nim herbaty i kumysu. Dzieci ciesząc się z odwiedzin słuchają rozmowy starszych.





Na lewo:
ORYGINALNA MODA
Młode dziewczątka noszą, podobnie jak chłop[...] okrągłe czapeczki na głowach ozdobione srebr[...]mi monetami, mniej lub więcej suto, zależnie [...] stanu majątkowego rodziców.

Poniżej:
„P O D S A M O W A R E M"
Młoda Turkmenka przyrządza herbatę. Bez tego napoju ani kobieta, ani mężczyzna nie mógłby się obejść w Turkiestanie. Wszystko jedno czy nieszczęście nawiedzi Turkmena czy stanie się coś radosnego czy gość w odwiedziny przybędzie, — przy każdej sposobności trzeba się napić herbaty.



Turkmenki posiadają jednak stosunkowo dużo swobody i chodzą bez zasłony na twarzy, mimo iż Turkmeni są muzułmanami. Rodzina jest ściśle patriarchalną. Gdy syn Turkmena dorasta, rodzice upatrują dla niego przyszłą małżonkę, ale i młodzieńca pytają o zgodę. Młodzieniec pragnący ożenić się musi zapłacić rodzicom panny młodej odszkodowanie już to gotówką, już to w naturze. Dopiero po zapłacie może się odbyć wesele. W dniu zaślubin napływają zewsząd goście, poubierani w odświętne chałaty do pięknej, świeżo rozbitej jurty. Mołła — muzułmański duchowny — odczytuje nowożeńcom obowiązki wzajemne, uroczystość kończą dzikie zabawy i harce na koniach oraz uczta z baraniny, ryżu i herbaty. Synowie żonaci zwykle opuszczają rodziców i żyją w oddzielnej jurcie.

Obok:
PRZED OBIEKTYWEM A P A R A T U F O T O G R A F I C Z N E G O
Babka z wnuczkiem na plecach była pierwszą osobą, która poddała się odważnie niezwykłej procedurze fotografowania. Przekonawszy się na jej przykładzie, że nie jest to zabieg bolesny inne kobiety także pozwoliły się łaskawie nazajutrz s f o t o g r a f o w a ć.





Poniżej:
„KRĘĆ SIĘ, KRĘĆ — WRZECIONO!"
Turkmenki przędą na ręcznych wrzecionach wełnę owczą na nici, z których następnie tkają dywany, stanowiące jedyne urządzenie jurty. Do farbowania wełny używają Turkmeni rozmaitych ziół rosnących na stepach. Gatunek ziół i sposób fabrykacji barwików są tajemnicą znaną jedynie najstarszym ludziom plemienia.



Poniżej:
MIELENIE ZBOŻA
Do mielenia zboża — czynności spełnianej również wyłącznie przez kobiety — używa się żaren przypominających bardzo prymitywne żarna używane przez naszych wieśniaków.



„WESTALKI" Z TURKIESTANU

ZYGZAKI



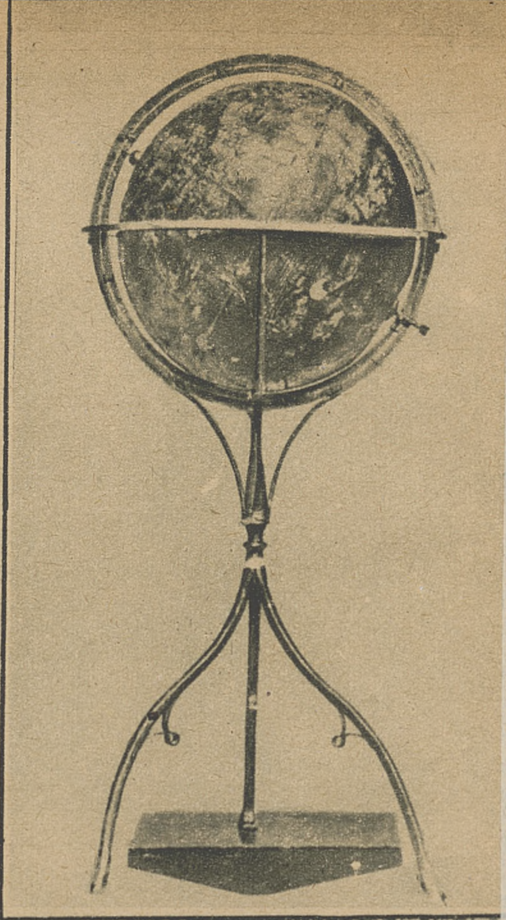
„BOŻEK PŁODNOŚCI"!

Dziwne zabobony i przesądy wywołujące niejednokrotnie uśmiech na naszych ustach, można napotkać dziś jeszcze wśród pogańskich ludów. Na zdjęciu na lewo, widzimy lufę starej holenderskiej armaty pochodzącej z XVI stulecia. Znajduje się ona na dziedzińcu jednej ze świątyń pogańskich na Jawie. Tubylcy oddają cześć iście boską tym szczątkom dawnej broni europejskiej, a kobiety pragnące mieć dzieci zanoszą gorące modły do owej lufy armatniej i składają u „jej stóp" liczne dary..

Na prawo:

PIERWSZY GLOBUS ŚWIATA

sporządził w roku 1442 Marcin Behaim z Norymbergii. Na globusie tym znajdują się wszystkie znane wówczas kraje i morza. Król Portugalii, Jan II oceniając niezwykłe zdolności Behaima, powołał go w roku 1484 do Lizbony na członka akademii naukowej. Na tym stanowisku Behaim wtajemniczał portugalskich żeglarzy i podróżników w niezbędne im wiadomości nawigacyjne.





Powyżej:

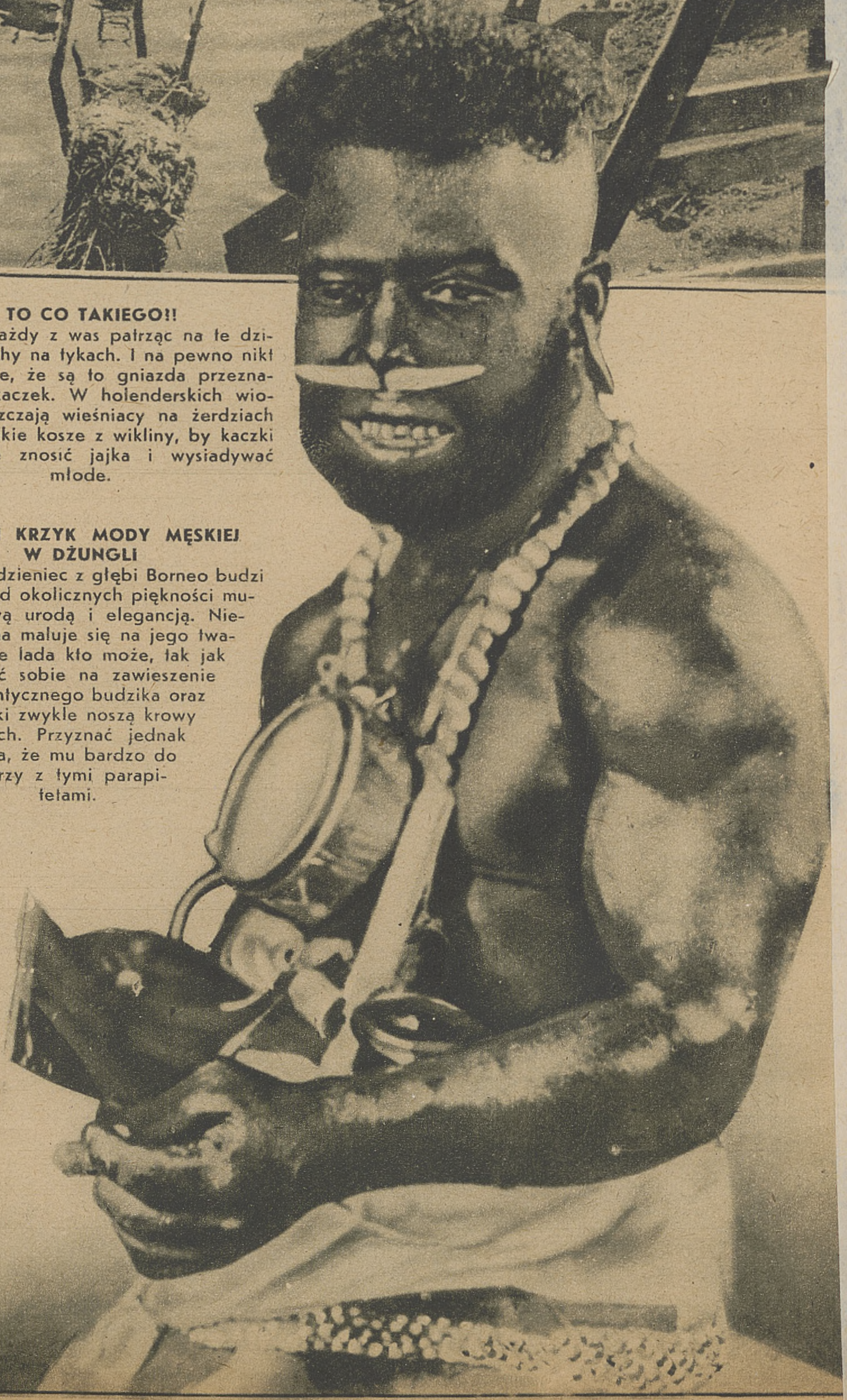
A TO CO TAKIEGO!!

— zawoła każdy z was patrząc na te dziwaczne wiechy na tykach. I na pewno nikt nie odgadnie, że są to gniazda przeznaczone dla kaczek. W holenderskich wioskach umieszczają wieśniacy na żerdziach nad wodą takie kosze z wikliny, by kaczki miały gdzie znosić jajka i wysiadywać młode.

Na prawo:

OSTATNI KRZYK MODY MĘSKIEJ W DŻUNGLI

Ten oto młodzieniec z głębi Borneo budzi podziw wśród okolicznych piękności murzyńskich swą urodą i elegancją. Nieopisana duma maluje się na jego twarzy, gdyż nie lada kto może, tak jak on, pozwolić sobie na zawieszenie na szyi autentycznego budzika oraz dzwonka, jaki zwykle noszą krowy w górach. Przyznać jednak trzeba, że mu bardzo do twarzy z tymi parapitetami.







Powyżej:

OSOBLIWOŚĆ GEOLOGICZNA

Bazalt, jaki napotyka się w wielu miejscach gór środkowo - europejskich posiada bardzo regularną budowę krystaliczną i wyglądem swym przypomina z daleka niebotyczne piramidy.

Na prawo:

KOZICA w KAPELUSZU

Otrzymała go „w podarunku" od dyrektora zoo, za to, że miała brzydki zwyczaj atakowania dozorców swymi rogami.

ŚWIAT JEST INNY

KRYSTYNA WAJCHT-SALABURSKA

SZKIC

ROZDZIAŁ I.

Nie ma chyba nic bardziej przykrego, jak być trzynastoletnią dziewczynką, bo to już wstyd bawić się lalkami, a jest się jeszcze strasznie inną, niż te starsze panienki, które się „nawet" pudrują. Ciągle się słyszy: „jesteś już tak dużą dziewczynką...", lub: „jesteś stanowczo za mała!..." i nie wie się nigdy, czy jest się „już" dużą, czy „jeszcze" małą?! Źle jest być dziewczynką i mieć trzynaście lat!

Widocznie feralna liczba wyryła swe fatalne piętno również na życiu człowieka.

Człowieka?

O, nie! W oczach „dorosłych", w tych ironicznych oczach, biedna trzynastolatka nie jest człowiekiem, a niezgrabnym i mocno niepewnym zadatkiem na człowieka, chociaż, Boże drogi, nigdy nie wiadomo, co z „takiego czegoś" wyrośnie! Źle być „takim czymś"!

Nuna wie o tym wszystkim doskonale, więc smętnie macha przeraźliwie długimi i jeszcze przeraźliwiej chudymi nogami, siedząc na wysokim, okiennym parapecie. Długo wpatruje się w przepysznie ustrojony, sterczącą sztywnie kokardą, czubek głowy przyjaciółki i mówi wreszcie zupełnie pewnym głosem:

— Właściwie nie powinnaś nosić już kokardy!

Ewa ponuro spuszcza głowę wstydząc się dumnej, granatowej kokardy.

— Ach, jak będę duża, uczeszę się całkiem inaczej, wiesz, w loki!

— Wiem, tak jak moja mama!

— Tak, tylko ja mam inne włosy!

— No, nikt nie ma takich włosów, jak moja mama, takich jasnych, jaśniutkich jak len!

— Twoja mama jest ładna i młoda.

— Moja mama jest śliczna i zupełnie inna, niż twoja!

— Ach, moja jest też dobra, tylko, że czesze się w kok i nie jest nowoczesna!

— To straszne mieć nie nowoczesną mamę! Dlatego każe ci nosić kokardę!

— Tak... to straszne!

— Wiesz? Chciałabym być taką, jak moja mama, jak będę dorosła!

Ewa patrzy na Nunę z powątpiewaniem:

— Jesteś bardzo chuda i nie masz jasnych włosów.

Nuna marszczy komicznie czoło i spogląda na wiszące na przeciw lustro.

— Moje włosy są wstrętne! Ani jasne, ani ciemne!

— Nie martw się! Może się zmienią?!

— I może kiedyś utyję?

— Na pewno utyjesz!

— Moja mama jest śliczna! Wszyscy się za nią oglądają, jak idzie ulicą!

— Tak, ale moja mama jest więcej mamą!

— Głupia jesteś! Jak mama może być więcej mamą?!

Nuna jest trochę zła, ale obawia się, by nie zrobić przyjaciółce przykrości, więc dodaje szybko:

— Twoja mama piecze świetne ciastka!

Twarz Ewy rozjaśnia się wdzięcznym uśmiechem. Podsuwa koleżance tackę z ciastkami:

— Jedz, proszę!

Nuna pakuje do ust ciastko... jedno, drugie... trzecie... Potem zsuwa się z okna niezgrabnym ruchem..

— Idziesz już?

— Tak, pójdę! Widocznie nie przyślą dziś po mnie służącej.

— Odprowadziłabym cię, ale nie umiem łaciny, jutro klasówka, umiesz?

Nuna lekceważąco wzrusza ramionami i podaje Ewie rękę.

Na ulicach panuje ożywiony ruch kończącej się niedzieli. Nuna miesza się z wystrojonym świątecznie tłumem i krytycznym wzrokiem obrzuca spotykane starsze koleżanki:

— Łażą idiotki całymi godzinami, jakie to miny stroją! Popudrowane, ulokowane, do byle sztubaka wywracają oczy.

Ale w głębi serca tak strasznie im zadrości! Też by chciała zwracać na siebie uwagę, też by chciała pudrować nosek!

Za jakie dwa, trzy lata... Za trzy lata! Jeszcze nie dziś!

Zrezygnowana wchodzi na szerokie schody nowoczesnej kamienicy.

Na pierwszym piętrze błyszczy złota tabliczka przymocowana do lakierowanych drzwi

Stefan Czarnocki

Nuna naciska płaski dzwonek i słucha jego dalekiego brzęku, który nikogo jakoś nie sprowadza...

— Cóż ta Julka, śpi?

Nie zdejmuje palca z małego guziczka.

Rozlegają się szybkie, nerwowe kroki... Tak chodzą mamusine nóżki w ślicznych pantofelkach na francuskim obcasie.

Otwierają się drzwi.

— Ach, Nuna! Któż tak dzwoni?!

Mamusia ma na sobie japoński, ciemny szlafroczek, od którego tak ładnie odbijają jasne włosy.

— Idź, kochanie, do mojego gabinetu, właśnie przyszedł pan Maks, muszę się ubrać, zabaw go chwilę!

Nuna idzie do pokoju zwanego gabinetem chyba tylko dlatego, że mama tam czyta książki i przyjmuje gości.

Pan Maks siedzi na tapczanie obok małego stolika, na którym Nuna spostrzega od razu dużo dobrych rzeczy i kieliszki z niedopitym do końca likierem.

A mama mówiła, że pan Maks w tej chwili przyszedł?...

— Jak się mamy, Nunuś? Gdzie to panienka się zawieruszyła?

— U koleżanki!

— U koleżanki! Chodźno tu bliżej!

Mocne ręce pana Maksa przyciągają ją do siebie i Nuna wdycha zapach... słodki zapach mamusi, którym pachną klapy jego ubrania.

— Dostaniesz jutro ode mnie wielką, śpiącą lalę, jakiej nie ma żadna z twoich przyjaciółek!

Nuna wcale się nie cieszy, nie wiadomo skąd bierze się myśl, że pan Maks chciałby ją przekupić.

Przekupić?... Za co? I w ogóle po co jej lalka?

— Jestem już chyba za duża?

— Za duża na lalkę?... Więc co byś chciała?

Nuna by chciała, żeby pan Maks jak najprędzej sobie poszedł, ale tego mówić nie wypada.

— Ja na nic nie mam ochoty!

— To źle! W tym wieku powinno się mieć na dużo rzeczy ochotę!

W tej chwili wchodzi mamusia. Ubrana jest w niebieską jak jej oczy sukienkę i wygląda tak miło, tak ładnie, jak aniołek z obrazka, co wisi w dziecinnym pokoju.

— Mamusiu! — Nuna rzuca się w kochane, pachnące ramiona. Mamusia się śmieje:

— Patrz Maks, jaka to pieszczocha!

Pan Maks jest przyjacielem tatusia, ale Nunę tak drażni, że i z mamusią mówią sobie po imieniu!

Mamusia uwalnia się z jej długich rąk.

— Wróciła już kucharka, zaraz będzie kolacja.

— Nie zaczekamy na tatusia?

— Mała ma rację! Może zadzwonisz, Elżo, po Stefa?

— Ach, on zwariował z tą swoją fabryką! Żeby nawet niedziele tam przesiadywać!

Wychodzi do drugiego pokoju. Nuna ciekawie nadstawia uszu...

— Hallo! To ja! Przyjdź już kochanie na kolację, żoneczka tak strasznie stęskniona!

Nuna ma dziwny niesmak i czuje, że jest tak jakoś inaczej, mamusia jest śliczna, ale inna, inna niż mówiła o niej do Ewy.

Uspakaja się dopiero na odgłos zatrzymującego się auta. Do pokoju wchodzi tatuś. Jest młodszy i dużo ładniejszy od pana Maksa, ale ma zawsze poważną minę i nie lubi tak dużo mówić. Przyjaźń dwu panów ciągnie się jeszcze z czasów wojny światowej.

Przy kolacji Nuna nie słucha wcale tego, co mówią starsi. Pochyla się nisko nad talerzem i nie wiadomo dlaczego czuje się dziwnie nieszczęśliwą.

Źle jest być jedynaczką! Smutne jest dzieciństwo i młodość zbyt wcześnie dojrzała wśród ludzi dorosłych.

Nuna jest zmęczona i zaraz idzie spać. Mówi wszystkim grzecznie „dobranoc" z nieodzownym dygiem, tak samo, jak była jeszcze zupełnie małą dziewczynką.

Obojętnym wzrokiem obrzuca różowe ściany swego pokoju, szafki i półki ze ślicznymi zabawkami, które Nuna chciałaby koniecznie wyrzucić na strych.

Rozebrana klęka do pacierza na małym dywaniku przed białym łóżeczkiem. Słowa modlitwy wydają się obce i niepotrzebne.

— O Dobry Panie Boże! Mnie jest dzisiaj bardzo smutno, spraw, żeby pan Maks nie dawał mi lalki, żeby jutro nie było klasówki, żeby tatusiowi szły dobrze interesy i na obiad nie było krupniku, żeby mamusia mnie zawsze kochała i nie lubiła pana Maksa.

Postaram się być nadal grzeczną dziewczynką i nie sprawiać rodzicom kłopotu.

Przychodzi mamusia.

— Zmówiony paciorek?

— Zmówiony.

— Za tatusia?

— Za tatusia.

— I za mamusię?

— I za mamusię.

— I... za pana Maksa?

— Tak — odpowiada niepewnie — i za pana Maksa... żeby go diabli wzięli? — dodaje w duchu i czerwienią się jej policzki. Dopiero obiecała być grzeczną!

Mamusia otula ją puchową kołderką.

— Śpij, córuchno, z aniołkami.

Potem zamykają się za nią drzwi. Robi się ciemno, zostaje tylko wąska smuga światła wpadająca przez szparę nad progiem.

Nunie przychodzą głupie myśli do głowy: po co jej mama każe spać z aniołkami i jakie są te aniołki, czy takie jak w kościele, co mają tylko pucołowate buzie i skrzydełka? Jak to można spać z aniołkami i po co? Nuna woli jak jej się śnią cyganie! Boi się bardzo, ucieka przed starą cyganichą z ogromną fajką w ustach, biegnie gdzieś, skacze, wstrząsa się cała i budzi siadając na łóżku, szczęśliwa, że to tylko był sen. Miło jest jak się śnią cyganie! Podobno dobrze jeść chleb przy pacierzu. Nuna raz spróbowała, ale nic jej się nie przyśniło.

Mamusia każe jej mówić pacierz, a sama nigdy nie chodzi do kościoła, ale mamusia jest śliczna i dobra, jak aniołek, na taką mamusię nawet Pan Bóg się chyba nie gniewa!

Nuna kocha mamusię więcej niż tatusia, który nigdy nie ma czasu, ale o tym nie można powiedzieć nikomu, zawsze się odpowiada: — kocham rodziców jednakowo — tak robią wszystkie dobrze wychowane dziewczynki.

Nuna stara się spać na wznak. Tak śpią zwykle aktorki na lśniących kinematograficznych fotosach, ale nie może zasnąć, więc niezadowolona ze swej słabej woli przewraca się na bok i kuli nogi tak, że broda opiera się na kolanach

Teraz można zasnąć! Jest przyjemnie zasypiać zwinięta w kłęb[illegible]

Uśmi[illegible]odkim półśnie może do aniołków o pucołowatych [illegible], a może do cyganichy dymiącej długą fają?...

Rano rozpoczyna się szkolne życie. Z włożeniem granatowego, zbyt luźnego mundurka, następuje zamiana Nuny na uczennicę Czarnocką. Grzeczną teraz trzeba być tylko na oczach nauczycielki, wśród koleżanek naśladuje się starsze mówiąc za każdym słowem: klawo, ferajna, zaiwaniać!

Zaiwanione jest szkolne życie.

Pierwszą lekcją jest matematyka.

Chuda, wysoka panna Amelia o nieprawdopodobnie wielkim, haczykowatym nosie, żółtych, wysuniętych naprzód końskich zębach i gładziutko przylizanych za uszy, rzadkich włosach, gwałtem chce skupić uwagę trzydziestu młodych umysłów na niesłychanie ważne i jeszcze niesłychaniej potrzebne początki mąk algebraicznych. Szponistym palcem uderza w czarną tablicę.

— Minus dziesięć plus pięć, ile to jest Czarnocka?

Nuna wstaje wolno kopiąc pod ławką Ewę. Ewa pochyla głowę i syczy przez zaciśnięte usta:

— Minus pięć!

— Minus pięć! — powtarza Nuna.

— Dlaczego?

Nuna nie wie dlaczego!

Panna Amelia rysuje piętnaście krzywych kół...

— To są jabłka. Dziesięć nazwiemy minusami, pięć plusami. Których więcej?

— Tych z minusami!

— O ile?

— O pięć!

— Rozumiesz teraz?

— Nie!

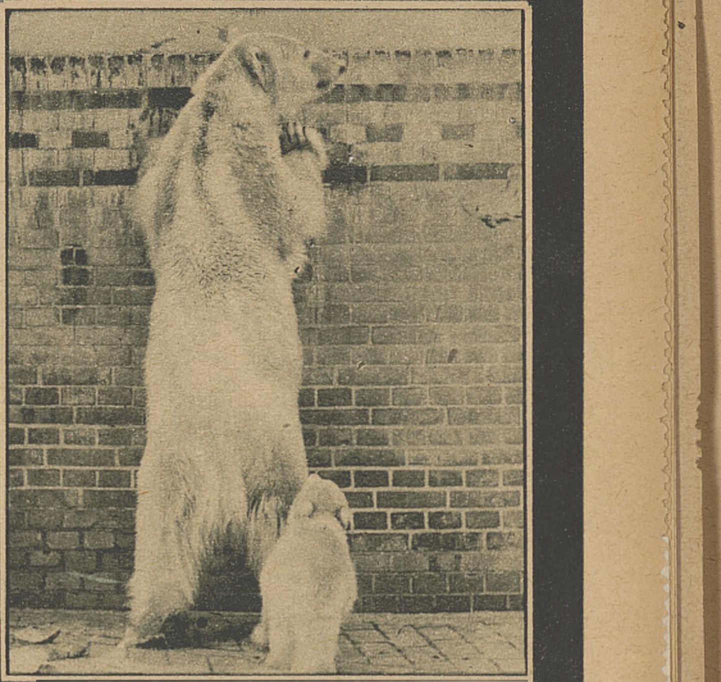
Panna Amelia robi zdziwione, okrągłe, jak ptasie, oczy.

— Jakto nie rozumiesz?

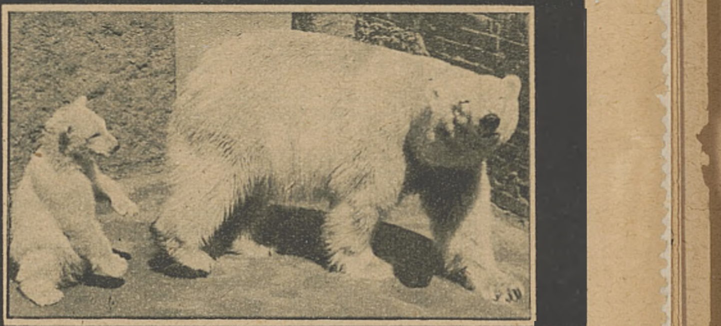
— Ja z tymi jabłkami inaczej pani wytłumaczę! Minus dziesięć jabłek, to jeszcze mniej niż zero, czyli wcale ich nie ma, ja sobie tylko wyobrażam, że je mam. Tymczasem

LATO PÓŁNOCNEJ PANI...

Fot: Tschira | Tekst: M. A. Hessel



Biała polarna niedźwiedzica
wspina się tęsknie, patrzy smutno
poprzez swój ciasny świat zamknięty.
Hen! w świat lodowy myślą mknie —
a Miś puchaty się zachwyca
że matka ma bajeczne futro
i pierwszorzędnie miękkie pięty ... ...
którymi można bawić się!



Krok w krok za wielką białą mamą
śliczna zabawka żywa z pluszu
dąży — i figle roi w głowie!
zaczepia łapą matczyn kształt ...
a ona wciąż i wciąż to samo:
ból i tęsknota szarpią duszę!
Morza daleki szum i powiew
wspomnieniem mkną w jej ciasny świat.



Skrzy się i pali słońce letnie!
jakieś „stworzenia" brzęczą w koło ...
Miś mały — żywy cud z wystawy
o skałę oparł „łapy" dwie —
wszystkim się wokół bawi świetnie!
w młodziuchnej duszce mu wesoło!
nie wie, co ból niewoli krwawy
i tylko w mamę patrzy się:



— — — a mama z tatą w srebrnej wodzie!
Swój ból przepłasza i tęsknotę
rozpryskiem fal i pluskiem rzeźwym
(dalekie echa morskich wód ...)
W gorącę lato tak jest co dzień.
W niewoli — jedne chwile złote:
chłodne igraszki cieszą nerwy
i synek ... Miś ... puszysty cud ...

ktoś przychodzi i daje mi pięć prawdziwych jabłek. Więc mam te jabłka, czyli to będzie plus pięć! Trudno liczyć te wyobrażone, ich nie ma!

— Czarnocka sobie w ogóle za dużo wyobraża! Między innymi niech sobie czasem „wyobrazi'", że może zostać z matematyki na drugi rok! Niech siada!

Śmiech przelatuje między ławkami.

Głupie dziewczyny!

Nuna siada, ze złością odpychając rękę Ewy.

Wcale nie chce jej pomocy!

Rozumie to wszystko c. .iem inaczej!

Nie chce umieć algebry!

Mamusia była świetną matematyczką, a twierdzi, że to kobiecie wcale niepotrzebne!

Rację ma mamusia!

W tylnej ławce szeleszczą papiery, to ten żarłok Baśka napycha żołądek, jak studnię bez dna.

Nuna słyszy znaczące chrząknięcie. Tak chrząka Wiśka, największy urwis klasy.

W powietrze wylatuje mała gałka papieru i pada celnie na pulpit Nuny.

Trzeba teraz patrzeć uważnie prosto w wielki nos panny Amelii i rozwijać wolniutko kartkę...

Napisane naturalnie do wiersza!

Między innymi Wiśka jest poetką. Między innymi — ponieważ Wiśka jest doskonała i umie wszystko prócz lekcyj!

„Kochanej Amelci,
Naszej cholerci,
Chcę zrobić kawał nad kawały,
O którym mówić będzie świat cały,
Na cześć którego wystrzelą z armaty
Kawał chcę zrobić, a ty?
Czemu głuptasie u ciebie mina,
Jakbyś tu przyszła prosto z komina."

Nuna wydyma pogardliwie usta...

Ona nie będzie należeć do głupich kawałów!

Chowa do kieszeni karteczkę i podziwia z całego serca zdolności literackie Wiśki.

Z niej będzie na pewno wielki człowiek!

Żeby na poczekaniu tak pięknie rymować!

Nuna deklamuje bardzo ładnie, ale żeby sama napisać... to sztuka nie lada!

Rozgląda się po klasie...

W ławce dyskretnie wsuniętej za piec Iza pudruje buzię.

Nuna szturcha Ewę:

— Patrz! Iza zwariowała!

— Tak, przychodzi po nią przed szkołę jakiś gość.

— Gość?

— No... sztubak!

— Ale wolę już Izę niż tego lizusa Teresę!

Lizus Teresa siedzi w pierwszej ławce bocznego rzędu. Sterczą jej cienkie, jak mysie ogonki warkoczyki, przy piegowatej, brzydkiej twarzy.

Lizus-Teresa patrzy z rozmodleniem w pannę Amelię wchłaniając w siebie ociekające nudą słowa algebraicznego wykładu.

Dla niej cały świat zamknął się w czterech ścianach klasy. Będzie zawsze tak siedzieć na pierwszej ławce, z otwartymi ustami, aż wyrośnie z niej twór, który może przewyższy nawet pannę Amelię!

Ławka Nuny stoi w środku środkowego rzędu, przy końcu roku Nuna siedzieć będzie na pewno na popularnie zwanej: „zadkowej ławce".

Dzieje się tak rok rocznie!

W pierwszych dniach Nuna chce być pilną i siada w ławce równoległej z Teresą, a przy końcu znajduje się przy ostatnim pulpicie tuż, tuż przy Wiśce.

Długą, jak tasiemiec, upstrzoną plusami i minusami godzinę przerywa litościwy dzwonek.

Z głośnym szelestem zamykają się zeszyty i książki.

Panna Amelia nie wychodzi z klasy.

— Spokojnie dziewczynki! Jestem doprawdy wzruszona! Dzisiaj w pokoju nauczycielskim czekał na mnie olbrzymi bukiet pięknych kwiatów. Nigdy nie przypuszczałam, że znajdzie się ktoś, kto pamiętać będzie o rocznicy mego przybycia do tutejszej szkoły...

Lizus-Teresa czerwieni się po uszy, spuszcza skromnie głowę i w zażenowaniu skubie brudnymi palcami skrawek jeszcze brudniejszego mundurka ściągając na siebie uwagę.

— Osoba ta okazała mi dużo przywiązania i dlatego chciałabym uścisnąć jej rękę. Która to z was, dziewczynki, bo wiem, że to z waszej klasy?

Ustał piskliwy głos nauczycielki, zapanowała cisza... Drwiące spojrzenia spoczęły na tłustych, jakby mytych w smalcu warkoczykach Teresy.

— Któż by jak nie ona?!

— Świnia! Tak na własną rękę!

— Przychlibek!

— Oceniam skromność, ale rumieniec cię zdradził, moje dziecko, pozwól, że cię ucałuję!

Panna Amelia schodzi z katedry ku pałającej wstydem, czy może triumfem, właścicielce mysich ogonków i wtedy rozlega się z końca klasy spokojny głos Wiśki:

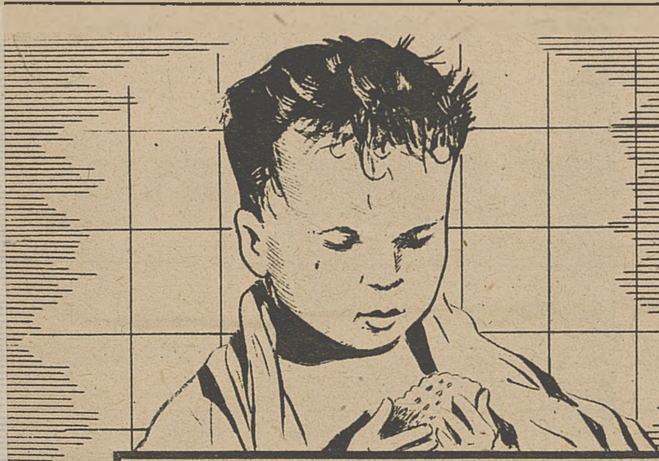
— To ja pani przyniosłam te kwiaty!

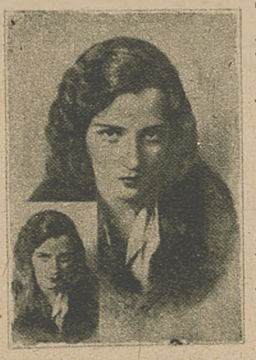
Zdziwienie niby iskra elektryczna obiega ławki, zatrzymuje się na oniemiałej pannie Amelii.

Wiśka stoi zwyczajnie, jak przy odpowiedzi tylko w oczach migocą jej diabliki śmiechu.

— Ty??? — w głosie nauczycielki brzmi nutka rozczarowania.

Dalszy ciąg nastąpi









Na porcelanowym talerzu dwie kromki chleba z miodem.

Muchy łażą ... Lenistwo ... Słońce ...

Dzieci, oblizawszy paluszki, zabierają się do poziomek. Najpierw — skrupulatnie — porównują oddzielne porcje.

— Ty masz więcej — krzywi się chłopczyk i łakomie sięga łyżeczką.

— No! — odtrąca go energicznie! — Ja mam więcej, bo ja jestem gość.

— To cóż z tego? Ja jestem starszy — oponuje ze łzami w oczach.

— Phi ... Wielkie rzeczy! O dwa miesiące. Zresztą, możesz sobie nawet być starszy, ale i tak ja szybciej biegam.

— Ale ...

— Ale ...

— Łakomczuch!

— Smarkacz!

— Babciu, bo się Maja przezywa!

— Prawda, proszę pani, że jak ktoś jest gościem, to mu trzeba okazać względy.

Babcia bierze z kredensu dzbanek i dolewa dzieciom śmietany. Kłótnia szybko idzie w niepamięć.

Dzieci siedzą zgodnie przy stole, ugniatając łyżką jagody w słodką, lepką, pachnącą miazgę.

Po podwieczorku, snują się, jak uprzykrzona pajęczyna, po cienistych alejach parku.

Pani, z różową parasolką, niespokojnie porusza się na ławce. Jej odbicie w głębinach stawu faluje jasną plamą, jak kwiat wielkiej victoria regii.

— Czy te natrętne bąki nigdy się nie wyniosą?

Przywołuje je ruchem dłoni. Dziewczynka ma potargane włosy i rozbite kolana. Chłopiec plecie warkocz z sitowia.

Cukierki w szeleszczących papierkach rozpychają kieszonki dzieci. — Tylko, proszę was, nie hałasujcie — mówi pani z przymilnym dąsem. — Najlepiej idźcie bawić się gdzie indziej. Czytam taką ciekawą książkę.

Maję interesuje bardzo gruba książka w szarej oprawie. I jak można czytać w ten sposób: nie przewracając kartek.

— A o czym jest ta książka, proszę pani?...

— A czy ja bym mogła ją czytać? ... — Dlaczego bym nie zrozumiała? Mnie tatuś wieczorami czyta „Podróże Guliwera" i ja wszystko dobrze rozumiem.

Ścieżką od strony dworu nadchodzi doktór Adam. Słońce pudruje złotem jego czarną czuprynę. Garnitur, buty — szare. Eleganckie. Prosto z żurnala. Jacek, skacząc na jednej nodze, już się czepia jego rękawa.

— Wujku złoty, przewieź nas łódką!

Z drugiej strony wdzięczy się Maja.

— O tak, łódką! ... Panie doktorze!!

Doktór wita się z piękną panią.

— Jakże zdrowie? — pyta banalnie, ale oczy ma rozjaśnione i niedbale podaną rączkę całuje znacznie dłużej, niżby tego wymagać mogły doktorskie obowiązki.

Dzieci nie ustępują. Staw faluje, jak lśniąca mora. Biała łódka chwieje się lekko, przy-

CONTRA AMOR

EWA MORIARTI

wiązana dziobem do pala. Doktór Adam — z sobie tylko wiadomych względów — jest dziś zgodny i ustępliwy. Chce przekupić dzieci dobrocią.

— Dobrze już dobrze! Przewiozę was na drugi brzeg. Tam Tadeusz obiera wiśnie. — Proszę panią — kłania się z wdziękiem włoskiego gondoliera, przyciągając łódkę do brzegu.

Pani krótko, grzecznie odmawia. Nie pojedzie. Boi się chłodu. Jej odkryte ramiona prężą się, jak dwa węże. Ma złość w oczach, choć się uśmiecha.

Dzieci siedzą już koło wioseł. Tupią głośno w deski pokładu.

— Prędzej! Prędzej! O, Boże... prędzej!!! Ciemna zieleń faluje wokół. W głębi pluszczą olbrzymie karpie. Dziewczynka, przechylona za burtę, łowi w wodzie smugi słoneczne. Fale ciepłe są i przyjazne. Liżą ręce, jak wierne dogi. Jacek, czerwony z wysiłku, arytmicznie szarpie się z wiosłem. Doktor Adam milczy pochmurnie. Gdzieś, daleko, na drugim brzegu, chwieje się, jak firletka, różowa parasolka. Maję dręczy natrętny problem. Niespokojnie kiwa nóżkami . . . Wreszcie zbiera się na odwagę.

— Panie doktorze, czy ta pani — nieokreślony ruch rączką poza siebie — to także histeryczka?

— Ależ Maju, co ty znów pleciesz! — Dr Adam marszczy się gniewnie. — Nie powinnaś nigdy powtarzać słów, których nie rozumiesz. Nie mówi się „histeryczka", tylko „pacjentka".

Jacek broni honoru Mai.

— Ciocia Wanda zawsze tak mówi. Wczoraj wieczór mówiła przy mnie do babuni i pani Ewy: „. . . te wstrętne histeryczki wprost polują na mego męża."

Doktór Adam maskuje śmiechem nieprzyjemne zakłopotanie. Odwołuje się żartobliwie do zdrowego rozsądku dzieci:

— Wszak ta pani nie miała broni!

— Mogła ukryć za sobą, w krzakach — podtrzymuje Jacek z powagą.

— Naturalnie — wtóruje Maja. — Małą procę mogła mieć nawet pod chusteczką, albo w kieszeni.

Podniecona fantazja dzieci pracuje gorączkowo. Już nie bawi ich jazda łódką. Wyskakują na brzeg i chyłkiem, trzymając się za ręce, przesmykają się do wozowni. Tyle tylko zbaczają z drogi, żeby w sadzie, u pełnych koszów, zaopatrzyć się w smaczne wiśnie.

Wozownia jest od dawna, ulubionym schronieniem dzieci. Na honorowym miejscu stoi w niej nowe auto o lśniącej karoserii — (drugi, prócz sanatorium, i stanowczo mniej kłopotliwy kaprys syna pani dziedziczki). — Starczy usiąść za kierownicą, by się przenieść w dalekie kraje. Podróże odbywane w marzeniu, obfitując, stokroć hojniej niż rzeczywiste, w czarujące bogactwo przygód. To nazywa się, w ich języku, całkiem skromnie: — bawmy się w auto! — Dziś jednak, jednomyślnie, rezygnują z rzadkiej okazji. Spośród wielu pojazdów wybierają starą karetę, wewnątrz miękko obitą skórą i zamknąwszy za sobą drzwiczki, toną w szeptach i konspiracji.

— Wiesz, musimy pilnować wuja — szepce Jacek do ucha Mai. — Ich się tyle kręci tu wszędzie. — Maja kiwa poważnie głową. — A najgorsza to ta znad stawu. Ona chciała się nas dziś pozbyć. Pewnie miała chęć zapolować.

Jacek widzi swojego wuja zmienionego nagle w zająca. Gajowy podnosi go do góry za tylnie skoki. Z głowy kapie krew na posadzkę. — Ładna sztuka — śmieje się Tomasz. Nie wie wcale, że to pan doktór.

Maja tchórzliwie podciąga nogi na poduszki siedzenia i obciska szczelnie sukienką.

Pan doktór jest jeleniem na obrazie, w sypialni ojca. Ugodzony znienacka osuwa się na ziemię. Oczy krwawią śmiertelną grozą.

Przerażenie trzęsie, jak febra, wrażliwymi ciałkami dzieci. Bliskie płaczu tulą się ciasno w staroświeckim rogu karety.

— Wiesz, będziemy wciąż za nim chodzić — decyduje wreszcie Maja.

— Obronimy go w razie czego — potakuje skwapliwie Jacek.

Pocieszeni troszeczkę, jedzą wiśnie razem z pestkami, licytując się lekkomyślnie, kto potrafi spożyć ich więcej.

W czasie lekcji łuki leżą dobrze ukryte w pełnych pokus krzakach ogrestu. Sztylecik z sarnią nóżką, który Maja ściągnęła ojcu spośród kartek na wpół rozciętej książki, sterczy butnie pod jej fartuszkiem. Godziny codziennego, popołudniowego spaceru doktora Chrząszcz-Barskiego, z którymi tyle marzeń i podświadomych nadziei łączyć zwykły jego pacjentki, zmieniają się na groźne, wojenne pogotowie.

— Cóż to znowu za niezwykły rynsztunek? — śmieje się babcia Jacka.

Obłudne minki dzieci wyrażają naiwność.

— Tak się tylko bawimy, babciu

Nerwowym młodym damom spędzającym, więcej dla mody, niż dla zdrowia, lato w wytwornie wabliwym sanatorium, gdzie przystojni homeopaci leczą wszelkie dolegliwości ciała i duszy zagraniczną metodą Kneippa, herbatkami z ziół nieszkodliwych, i sugestią przeciągłych spojrzeń — te niewinne igraszki dzieci coś przedziwnie popsuły humor. Zwłaszcza pani Zofia Nasturska, jest wyraźnie zdenerwowana. Zimne tusze i prześcieradła wprost przeciwny odnoszą skutek niż Chrząszcz-Barski pisał w prospekcie.

— Reklamują to sanatorium jako rozkoszny azyl ciszy i wypoczynku — skarży się bliska płaczu, powróciwszy wieczorem z parku. — Ładny spokój, kiedy te dzieci wciąż się kręcą koło doktora. — Chciała powiedzieć inaczej: — „po alejach", „po wszystkich ścieżkach" — ale żywe zdenerwowanie podsunęło jej inne słowa.

Osiemnaście par ciekawie błyszczących oczu podchwytuje ten „lapsus linguae". Ironiczne, skryte uśmieszki przewijają się koło stołu. Pani Strońska, słynąca z tego, że się nigdy nie liczy z nikim, słodziuteńkim jak syrop głosem cedzi pośród ogólnej ciszy.

— A łaskawa pani zapewne wolałaby być z nim sam na sam. Chętnie wierzę! Przystojny człowiek.

Rozpętuje się groźna burza. Serię omdleń kończy dopiero interwencja pana Adama.

— Jutro rano proszę o konie — szlocha dama w mokrą poduszkę.

— Bardzo proszę. Jak pani każe. — Dr Adam oddycha z ulgą. Jeśli nawet był swego czasu pod urokiem ślicznej pacjentki, to powoli już mu to przeszło. Tego roku zresztą jak nigdy dziwnie mało było okazji do flirtu i rozmowy.

W sanatorium koledzy, służba. W dworskim parku te śmieszne dzieci. O ich dziwne, dzikie zabawy rozbijały się nieuchronnie wszystkie jego cenne sam na sam.

Szybkie nóżki Mai i Jacka tupotały po wszystkich ścieżkach. Potargane, jasne czupryny wyrastały, gdzie ich nie posiał. Ile razy, oczarowany, zbliżał usta do białych ramion, pojawiały się zaraz dzieci, jak złośliwe, czujne chochliki. Człowiek, bardziej niż mu się zdaje, jest zawisły od sposobności. Bardzo mało jest namiętności, które łamią zwykły bieg zdarzeń. Dr Barski tym więc sposobem został wierny swej młodej żonie, choć bynajmniej nie miał skrupułów biblijnego żyda, Józefa.

— Życzę pani szczęśliwej drogi — oficjalnie kłania się w progu. — A o ziołach proszę pamiętać. Zwłaszcza baldrjan z miętą pieprzową, w połączeniu z codziennym tuszem, wprost cudownie działa na nerwy.

U ciemniejącej furtki, w cieniu wielkiej, kwitnącej lipy, dwoje dzieci stoi na straży.

Już ich trochę nudzi to wszystko. Wuj jest na nich dziwnie niełaskaw . . . Bolą nóżki podrapane dotkliwie podczas licznych zasadzek w krzakach.

— Wiesz co? Jutro bawmy się w auto — kusi Maja świeżym pomysłem. Pojedziemy do Honolulu.

— Dobrze — zgadza się chętnie Jacek. — Wezmę babci srebrnego lisa i naszego kota angorę.

— Po co?

— Nie wiesz po co? W ciepłych krajach żyją przecież dzikie zwierzęta.

Podskakując wesoło biegną razem w kierunku dworu.

Doktor Adam idzie za nimi, z przyjemnością śledząc ich ruchy.

— Są nieznośne, ale doprawdy mają w sobie ogromnie wiele wdzięku — konkluduje z lekkim zdziwieniem i przystaje koło porzeczek, niosąc ogień do papierosa.



J. KOPROWSKI

W małym kieszonkowym kalendarzyku, który Kamila zostawiła tego dnia na biurku, znalazłem następującą notatkę: „Mój mąż musi być przystojny, dobrze zbudowany, w miarę wysoki, czarny z lekko rozchylonymi chrapkami; musi mieć z angielska przystrzyżone wąsiki i ciemne marzące oczy."

Hm . . . — mruknąłem pod nosem i roześmiałem się. Kamila pracowała w naszym biurze od niedawna i była spośród nas najmłodsza. Mogła liczyć z górą siedemnaście lat, choć wyglądała na więcej. Śniada, dobrze rozwinięta śmiało uchodzić mogła za dwudziestoletnią pannę.

Po powrocie do domu spojrzałem do lustra i zacząłem przyglądać się sobie uważnie. No tak: jestem czarny, mam lekko rozchylone chrapki, wąsiki przystrzyżone z angielska i ciemne marzące oczy. Zbudowany jestem nienajgorzej. Wzrost — więcej niż średni.

— Hm . . . — mruknąłem pod nosem i roześmiałem się. — Dobra nasza.

Nazajutrz byłem bardzo wesoły. Rozmawiałem w biurze ze wszystkimi, uśmiechałem się. Z Kamilą rozmawiałem więcej, niż zwykle i bardziej serdecznie. Pytałem, co robi po powrocie z biura do domu, czy chętnie wychodzi na spacery. Po jej potakujących odpowiedziach zapytałem, czy nie moglibyśmy w takim razie przejść się razem po powietrzu. Jest taka ładna pogoda — słońce, maj. Zapłoniła się mocno i powiedziała nie patrząc mi w oczy:

— Dobrze, ale . . . o której godzinie?

Poszliśmy więc na spacer i długo błąkaliśmy się poza miastem.

Kamila była bardzo nieśmiała, ale w miarę jak czas upływał ośmieliła się i mówiliśmy ze sobą o różnych rzeczach. Opowiadałem jej o sobie, o moich zamierzeniach na przyszłość, o konieczności rozpoczęcia życia we dwoje.

Tu dałem jej niedwuznacznie do zrozumienia, że mi się podoba i że gdyby tak . . .

Jest przecież młoda, miła, pracowita. Przez te kilka tygodni pracy w biurze poznałem ją dobrze i mogę śmiało powiedzieć, że jest wartościowym człowiekiem.

To wszystko podniosło ją ogromnie na duchu. Zaczęła zerkać na mnie z ukosa, uśmiechać się. Czułem, że pierwsze lody przełamane.

Potem patrzyła mi już prosto w oczy i szła obok mnie pewna i zadowolona.

Odtąd spotykaliśmy się prawie codziennie. Szliśmy na dalekie spacery za miasto. Rozmawialiśmy o swoich upodobaniach i poglądach.

Wynurzeń moich słuchała Kamila z uwagą i niepokojem. To, co mówiłem, wydało jej się najpierw ogromnie ciekawe, potem dziwne, wreszcie niezrozumiałe. Spoglądała na mnie z lękiem, gdym mówił, że pocałunek w usta jest właściwie bardzo niehigieniczny i niebezpieczny i że dziwię się mocno ludziom, którzy całują się z takim upodobaniem. Ja jestem zwolennikiem miłości czystej, platonicznej. Wszystko inne wydaje mi się wstrętne i głupie. W moim życiu — mówiłem — nie ma miejsca na pocałunki, ani tym podobne rzeczy.

Na świecie tymczasem był piękny maj. Drzewa pokrywały się liśćmi i kwieciem, słońce prażyło coraz mocniej, w powietrzu słychać było nieustanny śpiew ptaków. Słowem: gdzie nie spojrzysz poezja. Ani śladu prozy. Wszędzie pełno młodych par. Chodzą trzymając się za ręce, śpiewają, patrzą na siebie miłośnie marzącymi, rozkochanymi oczami.

Kamila pełna jest niepokoju. Jej dusza łaknie tkliwości i pieszczot. Chciałaby, bym trzymał ją czule pod rękę, szeptał czułe słowa. Ale mnie nie spieszy się jakoś. Przeciwnie nawet. Przy takim żarze trzymanie się pod rękę uważam za zupełnie niewskazane.

Człowiek poci się niemożliwie, byłoby to zatem bardzo nieprzyjemne.

— W ogóle — mówiłem — ludzie powinni zwracać większą uwagę na to, co robią. To wieczne przytulanie się do niczego dobrego nie prowadzi. Paraliżuje jedynie wolę i ochotę do pracy. Człowiek staje się leniwy i nie zwraca na nic uwagi.

I Kamila posmutniała bardzo. Z wielkiej nadziei przeszła w całkowitą apatię. W biurze była zwykle smutna i nie nuciła jak dawniej. Ja zdawałem się tego nie zauważać. Byłem wesoły, uprzejmy, starałem się mówić dużo i pogodnie.

Chodziliśmy w dalszym ciągu na spacery, ale Kamila była coraz więcej smutna i milcząca. Czasami tylko stojąc na mostku nad rzeką wyrywał się jej okrzyk zachwytu z piersi:

— Och, jak tu ładnie! . . .

Wówczas milczałem. Chwilę, potem zaś rzekłem:

— Właściwie zachwycanie się tzw. cudami natury nie jest zjawiskiem dodatnim. Uczeni twierdzą, że tylko dusze chore ulegają tym zachwytom. Człowiek zdrowy na duchu i na ciele nie znajduje przyjemności w podziwianiu krajobrazów . . .

Kamila szła ze zwieszoną głową a ja zerkałem na nią z boku i uśmiechałem się wyrozumiale.

Wczoraj wyznałem Kamili swoją miłość.

— Bardzo cię lubię Kamilo — powiedziałem — i czuję, że dobrze byłoby mi z tobą. Jesteś miła, dobra, masz szlachetne serce i duszę.

Nie odpowiadała.

— Zbudujemy sobie dom — ciągnąłem dalej — będziemy pracować, życie upłynie nam spokojnie i szczęśliwie.

Kamila milczała.

— Kamilo, przecież ja cię kocham! . . .

Szła z opuszczoną głową i płakała. Łzy spływały jej po twarzy zmywając cienką warstewkę pudru.

— Ale . . . ja nie kocham . . . ja . . . nie mogę kochać — powiedziała wreszcie przez łzy.

— Dlaczego?

Schwyciłem ją za ramiona i nagle roześmiałem się w głos. Podniosła na mnie swoje zapłakane oczy.

— Czy to jest takie wesołe? — spytała po chwili.

— Popatrz Kamilo: jestem czarny, dobrze zbudowany, w miarę wysoki. Mam lekko rozchylone chrapki, wąs przystrzyżony z angielska i ciemne marzące oczy. Przecież taki jest twój ideał męża.

— No tak, ale ty jesteś taki dziwny, masz takie dziwne poglądy . . .

Długa chwila milczenia.

Kamila odezwała się znowu:

— Powiedz, czy zawsze byłeś taki?

— Nie. Nigdy taki nie byłem.

— To dlaczego zachowujesz się tak teraz?

— Bo, widzisz, chciałem ci pokazać, że uroda to jeszcze nie wszystko . . .

To rzekłszy przysunąłem ją do siebie i pocałowałem po raz pierwszy w usta.

SEKRET

— Czy wiesz, co mi się dzisiaj śniło?
. . . na samą myśl już drży mi w pulsach . . .
Zaraz ci powiem, jak to było!
A zresztą — po co? Takie głupstwa . . .

Słodki to sen był i uroczy
. . . nigdy mi taki się nie zdarza . . .
że pragnę znowu zamknąć oczy
by — Zresztą po co to powtarzać?

Albo ci powiem, lecz do ucha!
schyl głowę nisko tak jak możesz
bo mógłby zaraz ktoś podsłuchać
i myśleć o nas jak najgorzej . . .

Otóż — byliśmy sami (wreszcie!!)
tyś mnie w ramiona wziął i tulił,
całował . . . szeptał coś, i pieścił . . .
Eee? . . . co powtarzać takie bzdury?!

. . . a mocny jesteś jak Herkules . . .
gdy przymknę oczy, to śnię jeszcze!
i ciągle się do ciebie tulę!
i szeptem twoich słów się pieszczę!

A potem . . . ach, to tak wspaniale . . .
na samą myśl się kręci w głowie!
Nie patrz tak na mnie, bo się spalę!
Choćbyś mnie zabił — nic nie powiem . . .

I tylko w cudnym tym zamęcie
po głowie mknie przypuszczeń mnóstwo
że — chyba — tak wygląda — . . . szczęście!
Zresztą . . . już nie pamiętam! — Głupstwo . . .

M. A. Hessel

[illegible]

Nad leszczyną zaśmiał się krzyk sowi —
uciekł z gniazda przerażony słowik.

W osrebrzysko księżycowych nowin
szedł samotny zadumany człowiek.

Cień drapieżny musnął skrzydłem ciszę —
Smutny człowiek na polankę wyszedł.

Słowik targnął za cięciwę lotek
. . . i spadł ciężko pod człowiecze stopy. . . .

— — — — — — — — — — —

Dłonią (dawno w niej smak ciepła wystygł)
pieścił człowiek skrzydełko obwisłe.
Serce drżące jeszcze wielkim lękiem
wtulił słowik w gniazdko ludzkiej ręki.

— — — — — — — — — — —

W osrebrzysku księżycowych nowin
pokochali się: człowiek i słowik.

Bronisław Król



CHORZY I MEDYCYNA

Codziennie — ad finitum — krokiem nerwowym
przyjdą obnażyć z fałd — ciała atlasowe;
wetrzeć się bezradnie w białość kitli
i wyznać swój epos schorzałych powikłań.
Przyniosą tu spazm — co piersi rozrywa
lub krew, która w tętnicach nie chce już śpiewać
albo w tonącym statku melancholii
chcą utraconą radość raz jeszcze zespolić —
„niech kwiaty kwitną" — wołają — bezsilą owiani,
nie wiedząc, że ogród ich życia zamienił się w granit.
Chaos schorzeń w ciepłe miesiące letnie —
lekarz diagnostyką — jak ostrzem noża przetnie.
I zakręci się w głowie karuzela pionowa,
gdy medycyna, jak bzy rozsypie— życiodajne słowa.
A wracają (jak z bawialnej sali) radośni,
że znów śnić mogą sen życia — jak w wiośnie.

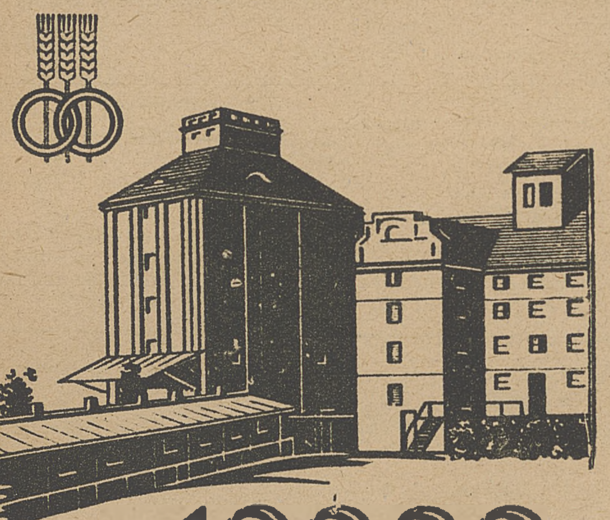
Amalia Łuczyńska

JEST LATO . . .

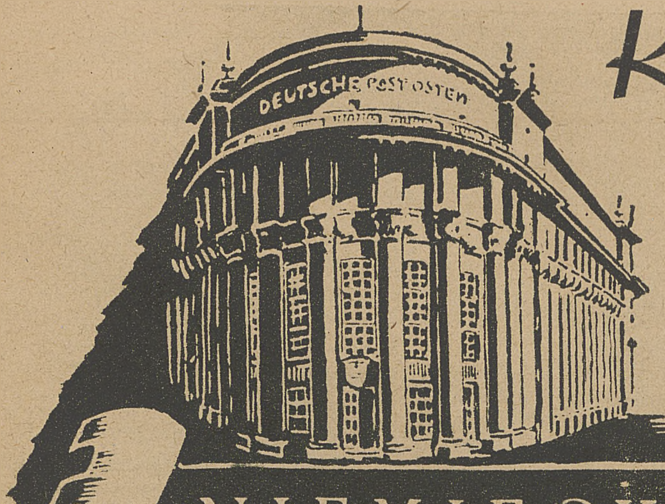
Wiosna była niewesoła i jakaś łzawa . . .
Maj tylko na krótko rozbłysnął radością i słońcem —
Teraz lato — są kwiaty, jest cudnie szmaragdowa trawa . . .
Głupie serce! — Czemu koniec wiosny nie jest marzeń końcem?
Jest lato . . . Drzewa w przepysznych bukietach zieleni . . .
Jest lato . . . Ale często pochmurno, często padają deszcze,
Czasem wiatr szumi smutne słowa o jesieni . . .
Śmieszne serce! — Ty wciąż tęsknisz jeszcze?

Joanna Aczkolwiek

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900







KĄCIK SZACHOWY NR 17

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Gambit centralny w obronie
(ciąg dalszy)

Uwaga ta w istocie rzeczy jest gruba przesadą 29 . . . **Wb—a8 30. b3 W×b5 31. a×b5 W—a1 32. K—d2 (32. K—b2? H—f6! 33. H—c3 S—c4 34. b×c4 W—a2 35. K—b3 W—a3) W×d1 33. H×d1 H—f4 34. K—c3 H—f6 35. K—d2 remis.**

Odnosi się wrażenie, że białe w partii tej powinne były wygrać. Naświetlenie tej partii w Deutsche Schachztg. (zdaje się przez Feilitscha) nie jest właściwym, uwaga do 29 ruchu białych jest błędną, gdyż po: 31. H—c3!!! białe mają figurę plus i muszą wygrać.

Wariant I, obrona C.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 d7—d5
3. Sf3×e5 Hd8—e7
4. d2—d4 f7—f6
5. Se5—g4! 1) Gc8×g4
6. Hd1×g4 He7×e4+
7. Hg4×e4+ d5×e4 z równą grą.

1) W partii Jaenisch—Petrow (Petersburg 1844) grano **5. S—f3 d×e4 6. Sf—d2 f5 7. G—e2** (wchodziło w rachubę **7. G—c4 e3 8. S—f3! e×f2 9. K×f2 S—f6 10. W—e1 S—e4 11. K—g1**) **7 . . . S—c6 8. Sd—b3 S—f6 9. 0—0 H—f7 10. c4 G—d7 11. G—f4 0—0—0 12. S—c3 h6** (obie strony grają na atak roszadowy, czarne zdają się mieć lepsze szanse) **13. a3 g5 14. G—d2 f4 15. d5 S—e5 16. S—d4 G—c5 17. G—e1 Wh—g8 18. b4 G—e7 19. f3!** (ruch pozornie ryzykowny, gdyż pozwala czarnym wtargnąć pionem daleko wysuniętym na e3, w rzeczywistości ruch ten jest koniecznym, aby odeprzeć atak. Na inne ruchy nastąpiłoby g4, po czym f3) **19 . . . e3 20. H—b3 g4?** (czarne powinne były grać 20 . . . K—b8, po czym G—c8). W dalszym przebiegu czarne przegrały partię.

W partii Cochrane—Staunton (Londyn 1841) grano **5. S—c3? f×e5 6. S×d5 H—f7 7. G—c4 G—e6 8. O—O c6 9. f4 c×d5 10. f×e5** i teraz mógł i powinien był Staunton odeprzeć atak przeciwnika grając 10 . . . H—c7! Tak samo korzystnym dla czarnych byłoby: 10 . . . d×c4 11. W×f7 G×f7.

Zwrotem tym wygrałyby czarne partię.

Wariant II, obrona A.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 d7—d5
3. e4×d5! Hd8×d5
4. Sb1—c3 Hd5—e6 1)
5. Gf1—b5+ 2) Gc8—d7
6. 0—0 a7—a6 3)
7. Wf1—e1! f7—f6 4)
8. Gb5—f1! 5) z przewagą białych.

1) 4 . . . H—a5 jest niewiele lepszym i prowadzi do pozycji obrony skandynawskiej (1. e4 d5 2. e×d5 H×d5 3. S—c3 H—a5 4. S—f3 e5) dlatego omówionym tu nie będzie osobno, lecz przy obronie skandynawskiej.

Zaznaczyć tylko należy, że w razie 4 . . . H—a5 po 5. G—c4 walczyłyby czarne z trudnościami rozwojowymi, np. po 5 . . . G—g4? mogłoby już nastąpić 6. G×f7+ a po 5 . . . S—f6 6. S—g5.

Dobrym kontynuowaniem po 4 . . . H—a5 byłoby 5. G—c4 S—c6 6. 0—0 G—f5 (aby bronić f7 i roszować długo) 7. d3 G—g6 8. G—d2 i białe osiągnęłyby przewagę.

2) Aby w razie 5 . . . c6 móc po 6. G—a4, po czym G—b3 obsadzić przekątnię b3—f7.

3) 6 . . . G—b5 7. G×b5 G—d6 8. d4 lub We1
6 . . . G—d6 7. d4!

4) Jeśli 7 . . . G—d6 to 8. S×e5 G×e5 9. d4.

5) Ten ruch jest o wiele silniejszym, niż 8. d4, co podaje Jaenisch w Strategie 1867.

Cokolwiek bądź będą grać czarne nastąpi zawsze d4 z decydującą przewagą białych.

Wariant II, obrona B.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 d7—d5
3. e4×d5 Gf8—d6
4. d2—d4 1) e5—e4
5. Sf3—e5 Z lepszą pozycją białych Dr. Euwe. Theorie d. schaakopeningen 1941.

Uważamy, że dr Euwe zbyt wcześnie urywa ten wariant i mógłby go rozprowadzić o kilka posunięć dalej.

1) W słynnej partii korespondencyjnej Zambelly—Maroczy (1897—1898) grano słabiej **4. S—c3 S—f6 5. G—b5 c6 6. G—a4?** (ten odwrót gońca jest błędnym choćby już z tego powodu, że po 6 . . . b5 7. G—b3 b4 8. S—e2 e×d5 mogłyby czarne odzyskać piona z dobra grą. Lepiej było grać: 6. d×c6 b×c6 7. G—c4) **6 . . . e4 7. d×c6 0—0! 8. S—d4 b×c6 9. S×c6 H—b6 10. S×b8 W×b8 11. G—b5 Wf—d8! 12. 0—0** (12. b3? G—e5! lub 12. d3? G—b4!) **12 . . . G×h2!!! 13. K×h2 S—g4 14. K—g3 H—c7 15. f4 e×f3 16. K×f3 W—d4! 17. d3 G—b7 18. S—e4 G×e4 19. K×g4 H—h2! 20. d×e4 H×g2 21. K—h4 W×b5! 22. H×d4 W—h5! 23. K×h5 H—h3 24. K—g5 h6 25. K—f4 g5 26. K—e5 H—e6 mat.**

CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr. 7.
Mgr. Edw. Arłamowski
(I wzmn. zaszcz. w konk. Lwowskiego Koła problemistów 1942/II)

Czarne: Kd4, Wc1, We1, Ga7, Gf1, Sf6, Sg1, piony: c2, d5, e2, e3, g2, h3, h5 (14).

Białe: Kh8, Hb5, Gf4, Sb7, Sg5, pion: c6 (6).

Rozwiązanie studium Nr. 7 (Rinck):

1. W—g5+ K—f8 2. S—g6+ G×g6 3. W—g1 h×g1H lub W 4. pat.

PARTIA Nr. 22

Białe: Borochow — Czarne: Dimock
grana koresp. w r. 1930.
Obrona francuska.

1. e2—e4 e7—e6
2. d2—d4 d7—d5
3. Sb1—c3 Sg8—f6
4. Gc1—g5 d5×e4
5. Sc3×e4 Gf8—e7
6. Gg5×f6 Ge7×f6
7. Sg1—f3 Sb8—d7
8. c2—c3 1) 0—0 2)
9. Hd1—c2 e6—e5 3)
10. 0—0—0 e5×d4
11. Sf3×d4 c7—c6 4)
12. h2—h4 Hd8—a5
13. Gf1—c4 Gf6×d4
14. Wd1×d4 Sd7—e5
15. Gc4—b3 g7—g6 5)
16. h4—h5 Gc8—f5
17. Hc2—d2 Wa8—d8
18. h5×g6 Gf5×c4 6)
19. g6×f7 Kg8—h8 7)
20. Hd2—f4 Se5×f7 8)
21. Hf4—f6 Czarne poddały się.

Uwagi:

1) Ruch ten zdaje się być lepszym, niż 8. G—d3 c5 jak w partiach Steiner—Aljechin (Kecskemet 1927) i Steiner—Aljechin (Bradley beach 1929).

2) Silniejszym jest 8 . . . H—e7.

3) Ze względu na niedorozwój ten przedwczesny marsz piona jest zgubnym dla czarnych.

4) Trudno znaleźć dobry ruch dla czarnych w tej pozycji.

5) 15 . . . h6 16. S—g5 prowadzi do forsownej wygranej białych.

6) 18 . . . G×g6 19. S—f6 K—g7 (h8) 20. S×h7 wygrana.

7) Najlepszą obroną czarnych było: 19 . . . S×f7 20. G×f7 K×f7 21. H—f4 K—g8 22. H×e4 H—g5 23. f4 H—g6 co prawda i wtedy białe zostałyby z przewagą wygrywającą.

8) 20 . . . S—d3 21. W×d3 H—f5 22. W×h7 H×h7 (K×h7 23. W—h3) 23. H—f6 H—g7 24. W—h3 G—h7 25. W×h7 26. G—c2 K—h8 27. H—h4 i mat w nast. ruchu.

Partia Nr. 23

Białe: J. H. Blake — Czarne: N. N.
Obrona Philidora.

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 d7—d6
3. Gf1—c4 f7—f5
4. d2—d4 Sg8—f6 1)
5. Sb1—c3 e5×d4
6. Hd1×d4 Gc8—d7 2)
7. Sf3—g5 Sb8—c6
8. Gc4×f7+ Ke8—e7
9. Hd4—d5 3) h7—h6
10. Gf7—g6 Sc6—e5
11. b2—b3 h6×g5
12. Hd5×e5+ d6×e5
13. Gc1—a3 Ke7—e6
14. e4×f5 mat.

1) 4 . . . f×e4 5. S×e5 prowadziłoby do pozycji wygranej dla białych (groźba H—h5).

2) Czarne dążą do 0—0—0, to przegrywa im partię.

3) Białe przeoczyły teraz szybszego mata w 4 ruchach: 9. H×f6+ K×f6 10. S—d5+ K—e5 11. S—f3+ K×e4 12. S—c3 mat.

— Jak ty się zachowujesz dziecko? Oddam cię do internatu, żebyś się tam nauczyła manier.

— Czy nie mogłabym się tego nauczyć w domu? — pyta dziecko zamyślone.

*

— To po prostu skandal! Jak mogłaś wczoraj wieczór stać trzy godziny w sieni z Karolem wśród zupełnej ciemności?!

— Ależ, ojcze, musieliśmy się przecież trzymać rozporządzenia o zaciemnianiu lokali.

*

18-letnia panna Zosia jest oczkiem w głowie mamusi. Jednego wieczora wchodzi mamusia do pokoju córeczki i zastaje ją w niedwuznacznej sytuacji z synem sąsiadki.

— Jak pan śmie — krzyczy oburzona matka. — Czy pan nie widzi, że okno otwarte? Przecież dziecko może się zaziębić!

*

Piękna klientka: — Ta materia podoba mi się, ale czy kolor jej jest trwały?

— Tak trwały jak kolorki na pani twarzyczce — zachwala subiekt chcąc się okazać gentlemanem.

Klientka: — W takim razie proszę mi pokazać coś innego.

*

Wanda śpiewa i gra całymi dniami. Na jej pianinie stoi gipsowe popiersie Beethovena.

Jeden z gości pyta się męża Wandy na przyjęciu. — Dlaczego nie macie popiersia Mozarta.

— Z litości — odpowiada mąż.

— Jakto z litości?

— Bo Beethoven był głuchy.

*

— Mam wrażenie, że twój znajomy nie bierze cię serio.

— Najważniejsze, że mnie w ogóle bierze, wszystko inne jest mi obojętne.

*

Poeta: — Cieszy mnie bardzo, że pani czytała mój utwór. Jak się pani podobał?

Pani: — Przyznać muszę, że z prawdziwą przyjemnością go odłożyłam.

*

— Maryś czego tak krzyczysz? Widzisz Zdzisio siedzi cichutko i nic nie mówi.

— Mamusiu, my się bawimy. Zdzisiu jest tatą, który późno wraca do domu a ja mamą.

*

— Garnki drutować! . . . nie ma co rozbitego u was?

Mały Antek: — O jej . . . Czemu nie ma! Dopiero wczoraj rozbili tatusiowi łeb w restauracji.

*

— Gdzież podział się królik, który niedawno temu bawił się tak wesoło na podwórzu?

— Wczoraj jadł pan z niego zajęczynę na obiad.

— To dla mnie zabiła pani tak wesołe stworzonko?

— E nie, ono samo zdechło.

*

— Mecenasie, proszę o rozpoczęcie procesu rozwodowego Mój mąż jest skończonym wariatem.

— Bez wątpienia. Najlepszy dowód, że się ożenił z panią.

*

— Co to jest szczęście, dopiero po ożenieniu się człowiek może zrozumieć.

— Słusznie pan mówi.

— Tak, proszę pani, ale wtedy już bywa zapóźno.

*

Pesymiści utrzymują, że pannom pragnącym dziś wyjść zamąż potrzebnym jest nie tyle wianek, ile wiano.

*

— Gdybym był kawalerem, nigdy bym się z tobą po raz drugi nie ożenił.

— A ja przeciwnie, żeby ci dokuczyć, jeszcze raz wyszłabym za ciebie.

*

— Tyś taka malutka, a twój narzeczony istny kolos, tęgi, wysoki, nie boisz się?

— Ii . . . abym mu tylko do kieszeni dostała, to już dam sobie radę.

*

— Dlaczego nie kłaniałeś się panu Jankowskiemu. Czyś go nie poznał?

— Przeciwnie, nie kłaniam mu się dlatego, bom go już dobrze poznał.

*

Pani: — Ależ Kasiu, ty siedzisz przy kołysce i czytasz książkę, a dziecko drze się w niebogłosy.

Służąca: — O, to mi wcale w czytaniu nie przeszkadza.

*

— Ach, mam przyjemność z panem radcą Buczkowskim? Już tyle o panu słyszałem.

— Bardzo możliwe, ale niczego nie będzie mi pan mógł dowieść.

*

— Maciejowo — mówi starsza kobiecina do swej sąsiadki — mam zmartwienie! Byłam dzisiaj w szpitalu, a lekarz powiedział mi, że jestem bardzo nerwowa i że muszę brom brać, a ja nie wiem jak się to brombra.

*

Emerytowany profesor, stały bywalec kawiarni, gdzie namiętnie kibicuje przy grze w szachy, zwraca się do kelnera:

— Zatrzymaj pan dla mnie moje krzesło, zaraz przyjdę, tylko wstąpię do domu na kawę!

*

— Najdroższa, czy nie jesteś nieszczęśliwa, gdy nie jesteśmy obok siebie?

— Nie, ani trochę. Przeciwnie, jestem szczęśliwa, jak sobie pomyślę, że ty jesteś nieszczęśliwy, ponieważ nie jestem przy tobie.

*

— Jakże tu można mieszkać, kiedy te dzieci tak piekielnie hałasują?

— To tylko dlatego tak słychać, że ta ulica taka spokojna.

*

— Czy profesor Wargowski jest naprawdę taki roztargniony, jak się o nim mówi?

— Tak. Naprawdę. Niedawno przyczepił kartkę na drzwiach swego mieszkania, że wychodzi i wróci dopiero o dwunastej. O jedenastej wrócił już jednak i zobaczywszy kartkę z napisem, czekał na swój własny powrót na schodach do dwunastej.

*

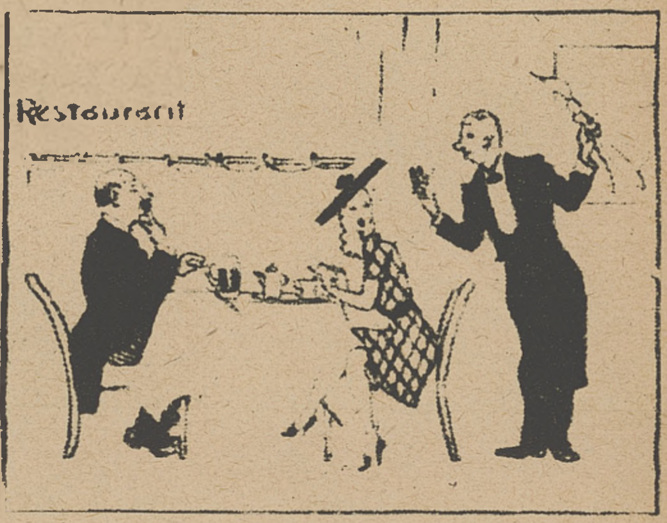
ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



NA WYWCZASACH

— Przepraszam was gospodarzu, ale zostawiłem swój pędzel do golenia w domu.

Rys. Gefischer



Miałem panu dać znać, gdy należytość za potrawy i napoje spożywane przez tę panią osiągnie sumę 120 złotych.

Das Illustrierte Blatt



Kiedy właściwie spostrzegłeś się, że zgubiłeś parasol?
Gdy przestało padać i chciałem parasol zamknąć.

Rys. J. Paluch — Kraków



— Chciałabym rozmawiać z redaktorką podpisującą swe prace „Wiosenka“.
— Słucham panią, to właśnie ja!

Rys: Czecha — Kraków

Fot: Stochl
Tekst: M. A. Hessef















Cud dnia pogodne niebo roztoczył.
Biegną ku słońcu szczęśliwe oczy
Wędka na ramię i — po przygodę!

Poprzez rozchwiane gaje i laski
wśród nieba jaśni i słońca łaski
dąży na połów rybaczka młoda.

Wreszcie — u celu! Szumi pod stopą
słońcem przetkana jak płynne złoto
najmilsze szczęście tej ziemi: woda!!

Cisza. Chłód krzewów. Piękna łowczyni
przygotowania potrzebne czyni,
wnet do najmilszej weźmie się pracy —

Chronią przed wodą buty gumowe —
sprzęt rozłożony — wszystko gotowe —
a więc na połów! po kąsek smaczny!!

Oto stoisko jak wymarzone!
Stoi rybaczka w fali spokojnej.
podobna smukłej rusałce wodnej.

Z wielkim rozmachem zarzuca wędką
i nie na próżno... „chwyciło“ prędko:
niezwykły połów bo — własne spodnie...

Oto coś kłębi się srebrnej toni
a potem wędka ustaje w dłoni.
— Ocho! chwyciło... Na haku jest coś...

i silny opór... Cóż to za ryba,
że ręce mdleją? wieloryb chyba...
Trrraaach!: i do wody zimnej — na plecy!

lecz cóż za radość!: nad wody lustra
olbrzymia ryba piękna i tłusta
wytrysła w górę jak srebrny słup!!

Rozpryski wody jak kule świecą!
Trzeba się zerwać — zarzucić siecią
aby nie umknął wspaniały łup.

... kąpiel jest zdrowa i nie zaszkodzi
a — grube ryby są właśnie w wodzie...
Różne do celu wiodą sposoby!

Szczęście rybaczki poucza wszystkich
że warto czasem zmoknąć do nitki
by na półmisku mieć świetną zdobycz... ... ...

SMACZNY KĄSEK